Nr. 117. Lwów — Wtorek dnia 21 Maja. Rok 1895.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „
Num. z poprzednich miesięcy po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:
w kraju i w Austryi miesięcznie 1 złr. 10 ct.
w Niemczech „ 1 „ 50 „
w innych państwach „ 2 „ — „
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Heleny † Isaji Prep.
Jutro: św. Julii † Symona Ap.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: LUDWIK MASŁOWSKI.

Wschód słońca g. 4 m. 21
Zachód „ 7 „ 33

Długość dnia g. 15 m. 12
Przybyło dnia od wczoraj m. 1

Upraszamy naszych prenumeratorów z prowincyi o wczesne odnawianie przedpłaty. Wynosi ona na prowincyi z przesyłką pocztową:
Miesięcznie 1 zł 10 ct.
Kwartalnie 3 „ 30 „
Półrocznie 6 „ 60 „
Rocznie 13 „ 20 „
Zmiana adresu kosztuje 20 ct.

Przegląd polityczny.

Lwów 20 maja.

Zwolennicy waluty podwójnej odnieśli nowe teoretyczne zwycięstwo. W pruskiej izbie panów poddał hr. Mirbach pod uchwałę następującą rezolucyę: „Wzywa się rząd, aby niezwłocznie poczynił kroki celem zwołania międzynarodowej konferencyi dla załatwienia kwestyi walutowej w ten ostateczny sposób, iżby powszechnie zaprowadzona była waluta podwójna“. Taki sam wniosek postawiono w zimie w sejmie pruskim; rozprawiano o tem również w parlamencie niemieckim i rząd oświadczył wówczas, iż chętnie weźmie udział w międzynarodowej konferencyi, jeśli na życzenie Anglii czy Francyi będzie ona zwołana, gotów jest nawet sam postarać się o taką konferencyę, aby bimetaliści nie sądzili, że ich życzenia są wręcz odrzucane, jednakże oznajmia, iż jest stanowczym przeciwnikiem „zakłócania“ uregulowanej waluty niemieckiej, która — jak wiadomo — jest wyłącznie złota. Monometaliści byli wówczas ogromnie uradowani i rzeczywiście mogli się cieszyć, bo po takiem oświadczeniu rządu zbyteczna była międzynarodowa konferencya, gdyż z góry wiedziano, że się skończy na niczem, skoro Niemcy nie zrzekną się wyłącznie złotej waluty. Jakoż przestano mówić o zwołaniu konferencyi. Tymczasem teraz Mirbach z kolegami znowu poruszył tę sprawę i to w ten sposób, że wręcz zaleca rządowi, aby starał się o zwołanie konferencyi i przemawiał na niej za walutą podwójną. Nie można było wprost odrzucić tego wniosku, skoro zdawna monometaliści trzymają się tej metody, że i owszem, niech będzie konferencya, bo ona tylko wykaże niemożliwość bimetalizmu. Więc wniosek Mirbacha powitano życzliwie, ale nadburmistrz koloński Becker, reprezentant interesów kapitalistycznych, zaproponował wyrzucić z wniosku te ostatnie wyrazy: „w ten sposób, iżby powszechnie zaprowadzona była waluta podwójna“. Beckera poparł kanclerz Hohenlohe, a prezydent banku państwowego dr. Koch wystąpił z namiętną filippiką przeciw zwolennikom waluty podwójnej, którzy — jego zdaniem — nie mają dobrego pojęcia o rzeczy, najniesłuszniej zwalają na złotą walutę wszystkie biedy rolnicze i rzemieślnicze, i jeśli swego dopną, to nikomu nie pomogą, a przemysłowi zaszkodzą. Dalej dr. Koch tak mówił: „Ku wyłącznie złotej walucie skłaniają się powoli wszystkie państwa cywilizowane. W Europie ostatnia Rosya już poczyniła wstępne kroki ku przejściu do złota. W Stanach Zjednoczonych rząd jest za złotem, w Chili nawet myślą o zaprowadzeniu monometalizmu. Nieprawdą jest, że żółtego kruszcu tak mało, iż będą go posiadali tylko bogaci, a ubogim wypadnie się zadawalniać monetą zdawkową, przezco wszelkie towary muszą coraz bardziej drożeć. Złota jest dość i kiedy już ono wszędzie się rozpowszechni, jako jedyna międzynarodowa moneta, wówczas przestanie odpływać z kraju do kraju. A jakaż olbrzymia korzyść dla światowego handlu, gdy wszędzie będzie jedna, niewzruszona w swej cenie waluta! To takie dobrodziejstwo, że ono pomyślnie oddziała na wszystkie zgoła kategorye narodowej pracy“.

Tak mówił dr. Koch, a odparł mu Mirbach w ten sposób: „Równe dobrodziejstwo okaże światowemu handlowi podwójna waluta, tak uregulowana, żeby był stały stosunek między ceną srebra a złota. Dr. Koch bynajmniej nie udowodnił, że złota rzeczywiście jest dość i że ono nie jest tak drogiem, iż może być dostępne tylko ludziom majętnym i krajom majętnym. Jeśli nie ten wzgląd, że złoto, jako rzecz dość rzadka, a więc droga, będzie się znajdowało tylko w społeczeństwach i warstwach zamożnych i przeto ułatwi tym społeczeństwom i warstwom wyzysk ekonomiczny uboższych sąsiadów i uboższe warstwy, to jakiż wzgląd skłania kapitalistów i wielkich przemysłowców do tak namiętnego walczenia o tylko złotą walutę? Mówią oni o nieodbitej potrzebie dla światowego handlu takiej monety, któraby wszędzie i zawsze miała jednakową wartość. To niezawodnie bardzo potrzebne, ale może się da osiągnąć przy podwójnej walucie — nie na zawsze oczywiście, lecz przynajmniej na krótkie peryody, na które ugodą międzynarodową ustalanoby wartościowy stosunek między złotem a srebrem. Jednak, gdyby nawet nie udało się ustalić wartościowego stosunku, to pozostaje jeszcze rozstrzygnąć pytanie: co z dwojga złego lepsze: czy to, że światowi kupcy w swym handlu zagranicznym będą narażeni na ryzyko, wynikające ze zmiennej ceny waluty, czy też to, że rolnicy i w ogóle wszyscy producenci z wyjątkiem wielkich przemysłowców, pracujących na eksport, będą stale w złych warunkach ekonomicznych w skutek istnienia drogiej waluty złotej? Kto na tę sprawę zapatruje się nie z kapitalistycznego, lecz narodowego stanowiska, ten ani chwilę nie zawaha się z odpowiedzią“.

Po tej przemowie Mirbacha pruska izba panów większością 77-miu głosów przeciw 38 odrzuciła poprawkę Beckera i wniosek Mirbacha przyjęła. Zatem obie izby pruskie i parlament niemiecki zażądały od gabinetu, aby starał się o zwołanie konferencyi międzynarodowej, przyczem jedna z tych izb wręcz zażądała, aby na tej konferencyi rząd przemawiał za podwójną walutą, a dwie inne samem wezwaniem o zwołanie konferencyi pokazały, iż z istniejącej waluty złotej nie są zadowolnione. Dla bimetalistów ma to ważne znaczenie, bo we Francyi zarówno rząd, jak parlament są za podwójną walutą, a w Anglii prąd bimetalistyczny bierze górę. Wprawdzie parę miesięcy temu liberalny gabinet Rosebery'ego oświadczył przez ministra skarbu Harcourta, że „tradycyjnie angielskiej“ złotej waluty zmienić na podwójną nie chce, ale Balfour, wódz torysowskiej opozycyi, która przy najbliższych wyborach zapewne zwycięży, oznajmił w imieniu swego stronnictwa, że powrót do dawnej waluty podwójnej stał się dla Anglii konieczny, odkąd radykalnie zmieniły się te warunki ekonomiczne, które niegdyś skłoniły Anglię do zaprowadzenia waluty złotej. Wreszcie w Stanach Zjednoczonych prezydent Cleveland wprawdzie stał się w ostatnim roku monometalistą, ale to ze specyalnych względów na skarb państwowy, zrujnowany przez spekulantów; za to wszystkie rządy stanów zachodnich i środkowych oświadczyły się za utrzymaniem waluty podwójnej, którą w Ameryce nazwano „zdrową“. We czwartek, 23 maja, odbędzie tam w Memphis zjazd nowego a nader ruchliwego stronnictwa „populistyczno-demokratycznego“, które wyda odezwę do narodu, aby bronił bimetalizmu, będącego „monetarnym systemem pracującego ludu“. Podobne zjazdy będą się odbywały we wszystkich miastach i, jak się zdaje, wybór nowego prezydenta, oraz izby reprezentantów odbędzie się pod hasłem, powtarzanem już teraz nader często: „W imię zdrowej waluty!“

Tak srebro, „zdetronizowane“ przez Bismarka, zaczyna coraz natarczywiej upominać się o swe prawa do monetarnego tronu, obok złota.

W ostatnich kilku dniach trzej angielscy mężowie stanu: członek gabinetu Fowler, wódz opozycyjnych unionistów Chamberlaine i wódz radykałów Labouchere w publicznych mowach oświadczyli, że rozwiązanie parlamentu stało się nieuniknioną koniecznością, a czem prędzej to się stanie, tem dla wszystkich spraw lepiej. Jeden tylko Goschen, drugi wódz unionistów, wyraził się w ten sposób: „Czem dłużej gabinet zwleka rozwiązanie parlamentu, tem dobitniej przekonywa naród przy każdej nowej sposobności, że wprawdzie zdolny jest do wygłaszania ponętnych haseł, ale zupełnie niezdolny do rządzenia. Własnemi rękami grzebie on nietylko siebie, ale i swoje stronnictwo. Dlatego jest naszym interesem, aby ten gabinet rządził jeszcze bodaj pół roku“. Opozycyoniści wprawdzie zawsze, gdy mówią o rządzie, dobierają barw zanadto jaskrawych dla odmalowania jego nieudolności, jednakże faktem jest, że gabinet Rosebery'ego nadzwyczajnie traci zaufanie ludności. Wszystkie ostatnie uzupełniające wybory wypadły na niekorzyść rządowego obozu, który przez to zmalał tak, że zaledwo rozporządza kilku głosami większości. Ta właśnie okoliczność, że wszystkie uzupełniające wybory, nawet w radykalnie usposobionych miastach, wypadają niepomyślnie dla rządu, świadczy o tem, że on nie ma już w społeczeństwie poparcia. Tak zresztą zawsze bywa w Anglii ku końcowi kadencyi — i stąd wynika potrzeba przedwczesnego rozwiązania izby gmin.

Z Chin donoszą, że wojsko w prowincyi Szan-hai-kwan, która niedawno była teatrem wojny i areną chińskich pogromów, zbuntowało się przeciw bogdychanowi, dowódzców swoich wymordowało, albo zmusiło do ucieczki i na własną rękę zaczęło wojnę, ale — z rodakami. Miasto Szan, główne w tej prowincyi, zrabowali ci bohaterzy do szczętu, a ludność rozpędzili, poczem zaczęli tak samo dokazywać w innych miejscowościach. Jak zwykle, rząd pekiński dopiero się namyśla, co począć.

Tymczasem Japończycy zajmują Formozę bez przeszkód, chociaż tamtejsze chińskie wojska groziły, że nie wpuszczą nieprzyjaciela. Odezwa japońskiego namiestnika, zapewniająca ludności opiekę prawa i udział w konstytucyjnem życiu, oraz zapowiedź, że na Formozie powstaną autonomiczne instytucye, odrazu przechyliły sympatye ludności na stronę Japonii.

Ze Stanów Zjednoczonych donoszą, że podług otrzymanych tam wiadomości z Tokio, mocarstwa „wschodniego trójprzymierza“ (Rosya, Niemcy i Francya) już zawarły pisemny układ z rządem japońskim i tak cały zatarg należy uważać za skończony. Myśl protektoratu rosyjskiego nad Koreą zarzucono zupełnie, albowiem przekonano się, że takie żądanie rosyjskie niechybnie wywołałoby wojnę.

Kwestye zasadnicze.

Piszą nam z Wiednia, 18 maja:

W takich kwestyach, jak ostatnie przesilenie, trzeźwy, bezstronny sąd, oparty na dokładnej znajomości stosunków, lepiej dopisze, niż wszelkie informacye. Jeszcze we czwartek rano o dymisyi Kalnokyego wiedziało może nie więcej, jak 6 osób, z których oczywiście żadna nie udzielała tej wiadomości nikomu. Tegoż dnia z rana korespondent wasz rozmawiał przypadkiem z dwiema wybitnemi osobami, z których pierwsza bardzo dobrze mogła, a druga nawet powinna była wiedzieć o nietylko bliskiej, ale już zdecydowanej dymisyi Kalnokyego. Otóż na uwagę waszego korespondenta, opartą nie na informacyi, lecz na trzeźwym sądzie, że upadek Kalnokyego jest nieunikniony, obie osoby stanowczo zapewniały, że nie, ponieważ nie ma dla niego odpowiedniego następcy! Kto jednak od dłuższego czasu przypatrywał się sprawom publicznym, kto widział jak łatwo znaleźli się następcy dla uważanych za tak niezbędnych ministrów, jak hrabiowie Beust, Andrassy, Taaffe, temu podobny argument nie imponuje. Pokazało się, że następca stał w pogotowiu i to taki, którego nietylko my Polacy na tem najważniejszem stanowisku witamy z radością i dumą, ale który niewątpliwie z zadania swego wywiąże się pomyślnie i zaszczytnie.

Na mocy trzeźwego sądu, już od roku kilkakrotnie napomykałem o prawdopodobieństwie usunięcia Kalnokyego. Ostatnie intermezzo czyniło zmianę konieczną. Nikt od waszego korespondenta nie przyznaje się szczerzej do zasad konserwatywnych i nie potępia głośniej antykościelnej polityki węgierskiej. Ale dla tego nie trzeba posuwać się w jednostronności tak dalece, aby nie uznać, że sposób, jakim hr. Kalnoky w znanym artykule *Polit. Corresp.* wystąpił przeciwko równorzędnemu prezesowi gabinetu węgierskiego i to w chwili, gdy wiedział, że baron Banffy posiada list jego, zawierający przeciwko nuncyuszowi ostrzejsze zarzuty, niż te, które wygłosił w sejmie węgierskim, musiał koniecznie sprowadzić katastrofę; gdy zaś Kalnoky, zamiast sprawę bądź co bądź załatwić poufnie, pozwolił lub musiał pozwolić na odczytanie swego listu z 25 kwietnia, nie mogło ulegać najmniejszej wątpliwości, że wkrótce upadnie. Wyraźnie to podnieśliśmy w korespondencyi, ogłoszonej pod tytułem „Błędy“.

Jeżeli teraz niektóre tutejsze dzienniki twierdzą, że Kalnoky upadł jako obrońca legalnej kompetencyi ministeryum spraw zagranicznych przeciwko roszczeniom Węgrów, teorya ta nie powinna omylić nikogo. *Fremdenblatt* też już wcześnie dokonał koniecznej rejterady, oświadczając w dzisiejszem południowem wydaniu, że Kalnoky ustąpił dlatego, ponieważ spostrzegł, że niechęć Węgrów do jego osoby utrudniała normalne załatwienie spraw rządowych. To jest zupełnie czemś innem.

Co do kompetencyi konstytucyjnych, § 8 węgierskiej ustawy o sprawach wspólnych czyli tak zwanego „artykułu XII“ z r. 1867, wyraźnie opiewa:

> .....„dlatego dyplomatyczna i handlowa reprezentacya państwa wobec zagranicy, jakoteż rozporządzenia, dotyczące międzynarodowych traktatów, w porozumieniu i za zgodą ministerstw obu połowic, należą do agend wspólnego ministra spraw zagranicznych“.

Odpowiednia ustawa austryacka „o sprawach wspólnych“ z r. 1867 nie zawiera wprawdzie podobnego paragrafu, ale rozumie się samo przez się, że, skoro każdy z dwóch rządów jest odpowiedzialny swemu parlamentowi, minister wspólny może działać tylko „w porozumieniu i za zgodą“ gabinetu austryackiego i węgierskiego. To logicznie wynika z dualistycznego ustroju monarchii. Czy można sobie wyobrazić doskonalszy i idealniejszy? — to inna kwestya. Faktem jest, że dualizm jest historyczną formą konstytucyjną Austryi (pominąwszy przyłączoną później Galicyę) i że de jure istniał zawsze, wyjąwszy centralistyczną dyktaturę od roku 1849—1860. Ale mniejsza o te względy historycznej natury.

Najważniejszą rzeczą jest, że w swej nowej, konstytucyjnej formie dualizm istnieje od r. 1867, a zatem od blisko lat 30. W tej epoce monarchia nietylko w sposób zdumiewający skonsolidowała się w swych wewnętrznych, zwłaszcza finansowych i wojskowych stosunkach, ale nadto szczęśliwie przebyła najgroźniejsze zawikłania na zachodzie i na wschodzie, bez wojny zdobyła dwie wielkie prowincye, zdołała ochronić półwysep bałkański od zaborczych planów Rosyi, i to państwo, o którem przed 30 laty Napoleon III oświadczył, że jest „trupem, z którym się nikt nie sprzymierza“, stało się poszukiwanym sprzymierzeńcem i pierwszorzędnym czynnikiem polityki międzynarodowej.

Stąd, nie wchodząc w szczegóły, wniosek prosty, że ten ustrój dualistyczny, nie może być zasadniczo złym. A potem, przeciwko usiłowaniom przerzucenia kwestyi błędów osób na pole problematów konstytucyjnych przemawiają najdobitniej dwa następujące fakta: najprzód ten, że sam hr. Kalnoky przy tym ustroju monarchii przez 14 lat umiał zarządzać polityką zagraniczną w sposób, wychwalany w jego „nekrologach“ jako genialny, a w każdym razie pożyteczny; powtóre, że najwyższy stróż i opiekun monarchii, Cesarz i Król, nie wahał się przyjąć jego dymisyi, a zatem sądził, że potrzeba tylko rozwiązać kwestyę osób, a nie wypada poruszać kwestyi konstytucyjnych kompetencyi.

Daj Boże, aby z żadnej strony nowemu ministrowi spraw zagranicznych nie utrudniano zadania poruszeniem tej ostatniej kwestyi. Ugoda r. 1867 została zawarta nie na 10, ani na 50 lat, lecz — na zawsze. Tylko handlowe i niektóre bankowe kwestye, które zasadniczo nie należą do wspólnych, bywają jednak od 10 do 10 lat porządkowane na mocy traktatów pomiędzy Austryą a Węgrami. Ale prawnopolityczny stosunek pomiędzy Koroną św. Szczepana a Austryą został ugodą r. 1867 zatwierdzony definitywnie, a ktokolwiek dba o dobro i potęgę monarchii, będzie najstaranniej unikał wszelkiej rewizyi, zmiany, a nawet interpretacyi owej ugody.

Niektóre dzienniki, zwłaszcza francuskie, jako główną zasługę hr. Kalnoky'ego podnoszą, że umiał przywrócić przyjazne stosunki Austro-Węgier z Rosyą. Nie przeczymy, że to pod pewnym względem może być uważane jako zasługa, ale niewątpliwie ważniejszą dla Austryi jest rzeczą zachować pokój z Węgrami, niż — z Rosyą. Jesteśmy zresztą przekonani, że hr. Kalnoky słusznie przeczuwał, iż jego usunięcie się stanowczo ułatwi przywrócenie harmonii pomiędzy dwiema połowicami monarchii.

Korespondencye.

Praga 17 maja.

Czeska wystawa etnograficzna, jak można było przewidzieć, stała się głównem ogniskiem życia, osią, około której wszystko obracać się teraz będzie. Czesi utrzymują nawet, że mieć będzie ważne polityczne następstwa. I tak, pierwszem dobrodziejstwem, jakiem ma obdarzyć naród czeski, będzie zniesienie stanu wyjątkowego w Pradze. Związek zaś między nią a tym stanem wyjątkowym jest następujący: Dyrekcya wystawy doznała łaskawego przyjęcia na zamku cesarskim w Wiedniu. Udała się ona tam celem zaproszenia Cesarza Franciszka Józefa na uroczystość otwarcia. Monarcha dopytywał się troskliwie o przygotowania, poczynione na placu wystawy, życzył powodzenia całemu przedsięwzięciu i pożegnał członków dyrekcyi oświadczając, iż pragnąłby, o ile mu zajęcia pozwolą, zwiedzić wystawę osobiście. Oczywiście odpowiedzi tej nie można nadawać wielkiego znaczenia, gdyż w ten sam sposób odpowiada Cesarz austryacki wszystkim deputacyom, przybywającym do Wiednia. Ale w wielu kołach czeskich pojęto tę rzecz inaczej, i biorąc słowa monarsze za zapowiedź przyjazdu, zaczęto zastanawiać się nad pytaniem, czy miasto, skrępowane obostrzonemi przepisami policyjnemi, mogłoby godnie króla swego powitać.

Kto zna Czechów, domyśli się, że odpowiedź wypadła przecząco. Wszyscy zgodzili się na to, że przywrócenie stanu normalnego musi poprzedzić chwilę, w której król i naród zobaczą się znowu. Wywnioskowano więc, że rozporządzenia wyjątkowe nam będą odwołane niebawem. Nie wypada nam wyrokować, czy rozumowanie to jest słusznem. W ogóle przedstawia się nam położenie tak, iż, o ile wątpliwem jest, czy Cesarz do Pragi przybędzie, o tyle, gdyby miał przyjechać, stan wyjątkowy zniesionoby przedtem niezawodnie.

W obec tego nasuwa się jednak pytanie: czy osiągnięto, co rząd zamierzał osiągnąć przez zaprowadzenie stanu wyjątkowego? — a więc czy uspokojono umysły, czy stłumiono dziką, wyuzdaną agitacyę młodoczechów, czy dopomożono stronnictwom poważnym do zajęcia kierującego stanowiska w narodzie?

Zdaje się, że nie. Z tego co młodoczesi robią w Radzie państwa, a czemu przyklaskuje większość narodu, wnosić wypada, że albo stan wyjątkowy trwał dotąd za krótko, albo w ogóle pedagogiczna wartość stanu wyjątkowego jest bardzo mała. W każdym razie wszystko teraz zależy od tego, czy w Czechach wytworzy się wreszcie stronnictwo, mogące jako

---

12.

OPOWIEŚCI PRAWDZICA

(Obrazki z życia Sportsmana).

(Ciąg dalszy).

W ogóle Preszburg jest jednem z najtańszych miast w austro-węgierskiej monarchii.

W teatrze, jakkolwiek wielki miłośnik operetek w ogóle, a tej właśnie, którą owego wieczora dawano, w szczególności, mało co słyszał, bo był zatopiony w myślach o jutrze, a nawet z roztargnieniem patrzył na kształty śpiewaczek i chórzystek, bo przed „oczyma duszy“ miał ciągle obandażowane przednie nogi „Alarma“.

Powróciwszy na herbatę do hotelu, zastał oczywiście znowu cyganów i czardasza!

Spał doskonale i wstał z nerwami zupełnie spokojnemi.

Zrana też przyjechał Helfenstein, i jeszcze raz powiedział mu, że może się wyrzec jazdy, bo prawdopodobnie koń biegu nie wytrzyma; ale Prawdzic ani chciał słyszeć o tem.

— Skoro mi hrabia robisz ten zaszczyt, że mi powierzasz szanse swego konia, to pojadę, i będę się starał, o ile możności, wygrać.

— Mówiłem już panu w Wiedniu — odrzekł Helfenstein — że na Wolkenberga się pan oglądać nie potrzebuje, chociażby i poprowadził, bo on nigdy nie umie trzymać, niech się pan stara szanować konia jak najwięcej. Gdyby bieg był szybki, tośmy przepadli, sądzę jednak, że będzie wolny, bo nie ma komu prowadzić na serjo. Nagybazy na swoim tłustym kasztanie także się śpieszyć nie będzie. Niech więc pan jedzie jak można najwolniej, ale proszę o tem pamiętać, że „Alarm“ nie jest tak szybki, aby w ostatniej chwili wystrzelić nim jak z procy. Jeśli panu Bóg pozwoli dojechać szczęśliwie do przedostatniej przeszkody, to niech się pan stara przy ostatniej być na przodzie — no! a potem już co Bóg da.

Prześliczny jest tor wyścigowy w Preszburgu na „Engerau“ za Dunajem.

Zjazd był bardzo liczny, ekwipaże bardzo piękne, a pogoda wiosenna sprzyjała. Wdziewając kurtkę Helfensteina, Prawdzic miał prawie taką emocyę jak wtedy, kiedy pierwszy raz w studenckiej swojej izdebce wdziewał kurtkę o kolorach swego wuja.

Jak przepowiadał Helfenstein, pięć koni stanęło do startu; prócz Prawdzica wszyscy inni jeźdźcy byli Węgrzy albo Niemcy. Publiczności najwięcej podobał się „Donald“, na którym jechał sam właściciel, hrabia Nagyhazy w szafirowej kurtce z żółtemi szwami. Okazały to był koń, brudno-kasztanowaty, łysy i białonogi.

Dodać wypada, że hrabia Nagyhazy był bardzo popularnym, nietylko w wyścigowym świecie austro-węgierskim, ale w najszerszych kołach publiczności.

Na „Alarma“ nikt nie zważał; wiedziano, że to koń stary i zużyty; a jeździec znany był z reputacyi chyba tym tylko sportsmenom, którzy bardzo pilnie czytali sprawozdania z wyścigów nawet w Galicyi odbywanych. Kogo tam obchodziły jakieś galicyjskie wyścigi?

Przeszkód było kilkanaście, a między niemi kilka wcale trudnych.

Opadła czerwona chorągiewka, konie ruszyły i naprzód wyleciał Wolkenberg w kurtce białej w szafirowe pasy na ogromnym gniadym koniu, który go niósł tak, jak orkan niesie okręt po morzu. „Alarm“ szedł między ostatnimi. Prawdzic szanował go bardzo, wiedząc, że noga niepewna, ale koń szedł dobrze, wygodnie, spokojnie, jak gdyby wierzchowy koń damski, ani razu nie utknął, a skakał doskonale.

Przed przedostatnią przeszkodą Prawdzic poparł go trochę, a kiedy przy niej zobaczył, że jest pierwszym, o mało mu się słabo nie zrobiło ze wzruszenia na myśl, że może wygrać. On, pierwszy Polak jeżdżący na zagranicznym torze!...

Jechał tedy dalej na ostatnią przeszkodę, a to był płot, który koń mógł ostatecznie przebić albo przewrócić. Przeskoczywszy ostatni płot, Prawdzic usłyszał za sobą klask szpicruta, a oglądnąwszy się, zobaczył hrabiego Nagyhazy okładającego na prawo i na lewo obfitymi razami nieszczęsnego kasztana spoconego i zapienionego.

On dotąd „Alarma“ nie dotknął ani szpicrutem, ani ostrogą; nie pędził go wcale, stał prosto w strzemionach, trzymając spokojnie cugle w zaciśniętych dłoniach; uśmiechnął się więc sam do siebie i jechał do mety prawie pewien zwycięztwa.

Już grzmiały oklaski, które zawsze witają każdego jeźdźca, chociażby zupełnie nieznanego.

W tem na jakie dziesięć metrów przed metą „Alarm“ utknął tak silnie, że gdyby jeździec nie był siedział całym ciężarem ciała w tył podany, byłby prawdopodobnie przez łeb konia przeleciał. Udało mu się go poderwać cuglami, ale biedny koń na trzech nogach, bo ścięgno pękło, ledwo dowlókł się do mety, a „Donald“ pod szpicrutem i ostrogami minął go jak stojącego i stanął pierwszy przy słupie zwycięztwa.

Prawdzic dowlókłszy się drugim, zaraz za metą obrócił konia okropnie kulejącego i chwiejącego się na nogach i z kwaśną miną pojechał do wagi. W tłumie, który nieszczęśliwe zwierzę otoczył, zobaczył Helfensteina także z nosem na kwintę i powiedział mu:

— Panie hrabio, robiłem co mogłem.

— Ależ panie — odrzekł tamten — podziwiałem tylko pańską pogardę śmierci; a tego kalekę, że tak długo wytrzymał.

— Biedne zwierzę, — rzekł Prawdzic — i zeskoczywszy koło wagi zaczął konia rozsiodływać.

„Donald“ pędzony rozpaczliwie przez bardzo silnego i energicznego jeźdźca, oczywiście zapędził się daleko poza słup metę oznaczający, tak, że, kiedy Prawdzic już po biegu zważony, wychodził z siodłem z lokalu wagi, spotkał się z tamtym we drzwiach i powiedział:

— Zwyciężony winszuje zwycięzcy.

— Ale bardzo mało brakowało, a byłbyś pan musiał wygrać, gdyby koń pański nie był urwał nogi w ostatniej chwili — mój już nic iść nie mógł.

Okulawiony koń stał z podniesioną nogą, a w oczach jego był taki wyraz cierpienia, że jeździec oddawszy siodło chłopcu stajennemu rzucił mu słowa: „All right“,*) poklepał konia po szyi i odwrócił się, żeby nie patrzeć na jego męczarnie; trudno go było ruszyć z miejsca, bo stał literalnie na trzech nogach.

Wtem zrobił się gwar w lokalu wagi, a ze drzwi wyleciał jak kula Helfenstein wołając wielkim głosem:

— Stać, stać, nie odprowadzać konia! — a spotkawszy Prawdzica, powiedział mu: Wygraliśmy!

Ten zrobił wielkie oczy i poszli obaj do wagi. Pokazało się, że Nagyhazy miał o dwa funty wagi za mało, bo gdzieś w skoku wyskoczyły dwie płytki ołowiu z niedokładnie zapiętej kieszeni na czapraku umieszczonej. Helfenstein pospieszył zaprotestować, a wygranę przyznano „Alarmowi“.

Zbytecznem byłoby zapewniać, że była to bardzo miła niespodzianka i dla właściciela i dla jeźdźca.

Trudno rozstrzygnąć czy więcej cieszył się pierwszy wygranemi dwudziestu tysiącami zł, czy drugi, że pierwszy bieg, w którym jeździł poza granicami ziem polskich, wygrał, choć niezupełnie, bo tylko wskutek zaprotestowania wagi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Wszystko dobrze.

tako zrównoważyć wpływ młodoczechów. Realiści, którzy nie przestali protestować przeciw polityce, zasadzającej się na demonstracyach, zdobywają się właśnie w tych dniach na krok śmiały. Tygodnik *Czeskie Nowiny* przybiera postać pisma codziennego. W programie nowego dziennika powiedziano Młodoczechom tyle gorzkich słów prawdy, iż jeżeli dziennik w tym kierunku wytrwa, a licznych czytelników sobie zdobędzie, to mogą dla obozu młodoczeskiego nadejść chwile pełne troski.

Wspaniałą ilustracyą metody młodoczeskiej był wybór Svatopluka Czecha na posła. Przez kilka tygodni wmawiano w naród nieustannie, że jego „Pieśni niewolnika" są poematem politycznym, opisującym położenie Czech. Komentarz ten, naciągnięty w najwyższym stopniu wywoływać powinien był uśmiech politowania na obliczu każdego czytelnika, który zechciał porównać kwitnący stan krainy czeskiej i wszechstronny jej rozwój z okropnościami opisywanemi przez Czecha.

Mimo to agitacya nie pozostała bez skutku. Naród uwierzył, że „Pieśni niewolnika" są memoryałem politycznym i że autor ich zdał egzamin na męża stanu. Wtedy posunęli się młodoczesi o krok dalej. Posypały się artykuły, dowodzące jasno, jak na dłoni, że należy koniecznie wysłać poetę do parlamentu, by tam swoją ognistą wymową zmiażdżył gabinet i koalicyę.

Naród usłuchał. Wybory poszły po myśli *Narodnich Listów*. I oto natychmiast po powierzeniu Svatoplukowi Czechowi mandatu, ukazał się w dziennikach jego list otwarty, w którym oświadcza, że nie uważa się za uzdolnionego do piastowania godności poselskiej i prosi, by komu innemu ciężki ten obowiązek powierzono. Do czegoż więc służyła cała ta komedya? Do wylania na papier długich tyrad, które rzeczywistego położenia kraju w niczem nie zmieniły i zmienić nie mogły, ale które za to jątrzyły umysły i podniecały namiętności polityczne.

Na ucztę z powodu otwarcia wystawy nie zaprosił młodoczeski komitet miejski namiestnika hr Thuna. Impertynencya ta ordynarna nie minęła bezkarnie. Na ucztę nie przybył ani marszałek kraju ks. Lobkowicz, ani nikt z ludzi poważnych. Przybyli tylko... młodoczesi.

Rzym 15 maja.

Mieliśmy tu bardzo burzliwe posiedzenie w klubie prasy. Chodziło o to, na jaki dzień ustanowić otwarcie kongresu dziennikarskiego, który się ma odbyć w jesieni r. b. Wrogie Papiestwu dzienniki (zwłaszcza *Tribuna*, organ tutejszej masoneryi) od kilku tygodni waliły w bęben, aby kongres odbył się koniecznie dnia 20 września, to jest w samo dwudziestopięciolecie zaboru Rzymu i aby przyczynił się tem samem do uczczenia rocznicy. Od razu więc klub prasy podzielił się na dwa wrogie obozy. Klerykalni protestowali, korespondenci dzienników radykalnych poparli ich na złość rządowi, z którym idą na noże, zrobiła się wrzawa, argumenty za i przeciw sypały się jak z rękawa — nareszcie głosowanie! Za datą 20-go września oświadczyło się 75 głosów, przeciw 58! Okazało się wtedy, iż zebranie nie było prawomocne, bo potrzeba było, według statutu, uczestnictwa najmniej jednej trzeciej części członków, to jest 140. Będzie więc drugie zebranie, które kwestyę rozstrzygnie.

To pewna, że im więcej się zbliża rocznica wkroczenia wojsk włoskich przez Porta Pia (w roku 1870) tem więcej się zaogniają sprzeczności między obu stronami. Oczywiście wolnomularze przy pomocy organów swoich i ludzi wpływowych najwięcej robią hałasu.

Strzelcy, którzy powrócili wczoraj w południe z nad morza, z Porto d'Anzio, Fiumicino, opowiadają o strasznej rzezi, jaką sprawili przepiórkom, przylatującym z Afryki. Ciąg był fenomenalnie wielki, przepiórki były zmęczone burzą, jaka je schwyciła w drodze, padały setkami na brzegu, zlatywały po ogrodów, na podwórza, gdzie je kijami bito. Jeśli wierzyć opowiadaniom, padło ich do 2000 zamordowanych po barbarzyńsku. Aż przykro słuchać tych kwasi-myśliwskich opowieści.

Paryż 16 maja.

(Zabójstwo księdza de Broglie.)

Straszna zbrodnia wstrząsnęła dzisiaj miastem: ksiądz de Broglie, znany ze swojej dobroczynności i pism, został zastrzelony przez obłąkaną dewotkę, niejaką Maksencyę Amelot.

Maksencya Amelot ma lat 40, jest starą panną i oddawna oddaje się dewocyi, żyjąc z kapitaliku, zaoszczędzonego z pracy magazynierki. Przed kilku laty obrała sobie księdza Broglie na spowiednika, lecz wkrótce, zamiast spowiedzi, zaczęła mu się bez ustanku uskarżać na jakieś prześladowania. Ksiądz tłómaczył jej, że to przywidzenia, uspakajał ją ustnie i listownie; nic nie pomagało, manja prześladowcza wzrastała z dniem każdym. W końcu przywidziało się manjaczce, że to sam ksiądz Broglie musiał ją oszkalować, że opowiadział, jakoby była ona dzieckiem nieślubnem i utrzymywała miłosne stosunki ze swym własnym siostrzeńcem. Udała się tedy wczoraj do kaplicy przy Instytucie katolickim i zastawszy tam księdza zaczęła z nim żywą rozmowę. Ksiądz, chcąc uniknąć zajść w kościele, odesłał ją do domu, obiecując, że zaraz sam do niej przyjdzie i rzeczywiście po południowem śniadaniu udał się do mieszkania Amelotówny, chcąc ją uspokoić. Zaprowadziła go do ostatniego z 3-ch pokojów, położonego na końcu wązkiego korytarzyka, pozamykała drzwi na klucz i zażądała od księdza, aby podpisał odwołanie wszystkich tych mniemanych potwarzy; gdy zaś ksiądz, naturalnie, odmówił, wystrzeliła do niego pięć razy z małego rewolweru.

Nieszczęśliwy usiłował się bronić, jak tego dowodzi przestrzelona ręka, uciekać, lecz doścignięty ostatnią kulą, która go trafiła w dolną część czaszki z tyłu, padł martwy.

Zbrodniarka najspokojniej umyła się z krwi, przebrała w czyste suknie i poszła do tejże kaplicy, gdzie, zastawszy o. Bulliota, opowiedziała mu wszystko. Ten uszom swym nie chcąc wierzyć, uprzedził natychmiast brata księdza, księcia de Broglie, członka Akademii i byłego ministra, oraz hr. d'Haussonville, a sam pobiegł z ostatniemi Sakramentami. Przyszedł po chwili lekarz, który mógł tylko stwierdzić zgon, i komisarz policyi, sprowadzony przez samą zabójczynię, która ani na chwilę nie straciła spokoju. Ciało zamordowanego księdza przeniesiono do jego skromnego mieszkanka przy ulicy Pawła Ludwika Courier.

Ksiądz Broglie był to siwy, wysoki, silny starzec o dobrotliwym, pogodnym lecz męskim wyrazie twarzy. Zaznał on burzliwych i zmiennych losów. Z książęcego starożytnego domu de Broglie, parów Francyi, ksiądz Paweł urodził się w r. 1834-ym, skończył szkołę marynarską i był porucznikiem okrętu, a za zasługi otrzymał krzyż Legii honorowej. W r. 1868 stracił narzeczoną, poczem wstąpił do seminaryum, zkąd po dwóch latach wyszedł księdzem.

Poświęcił się odtąd wyłącznie dobroczynności, która pochłaniała całe jego wielkie dochody, i piśmiennictwu kościelnemu. Był też profesorem apologetyki w Instytucie katolickim tutejszym, którego dyrektorem jest msgr. d'Hulst.

Pozostawił następujące dzieła: „O życiu nadprzyrodzonem"; „Pozytywizm i wiedza doświadczalna" (2 tomy); „Wiedza i religja"; „Bóg, sumienie i obowiązek"; „Problematy i wnioski z historyi religii", „Moralność bez Boga, jej zasady i następstwa". Był stałym współpracownikiem pisma orleanistowskiego *Le Correspondant* i, gdyby był chciał, mógłby zostać, jak brat, członkiem Akademii, biskupem itd.

Jednomyślnie, choć z mniejszym lub większym zapałem, oddają mu dziś hołd wszyscy, nawet Bonnefon, publicysta tak zazwyczaj surowy dla duchowieństwa.

KRONIKA.

Lwów 20 maja.

Nominacya hr Gołuchowskiego. Wczorajsza *Wiener Zeitung* ogłosiła następujące pismo odręczne Cesarza: „Kochany hr. Gołuchowski! Mianuję Pana ministrem Mojego domu i spraw zewnętrznych, poruczam Panu przewodnictwo w radzie ministrów dla spraw wspólnych i równocześnie udzielam Panu godność tajnego radzcy z uwolnieniem od taksy. *Franciszek Józef*".

Z trybunału administracyjnego. W tych dniach odbyła się w najwyższym trybunale administracyjnym we Wiedniu rozprawa w kwestyi sporu o kompetencyę między Wydziałem krajowym a Radą miasta Krakowa. Wydział krajowy bowiem zniósł uchwałę Rady, uwalniającą ze służby urzędnika miejskiego p. Czoponowskiego, ponieważ przedtem nieprzeprowadzono śledztwa dyscyplinarnego. Trybunał administracyjny, znosząc decyzyę Wydziału krajowego, orzekł, iż Wydział krajowy nie jest kompetentnym do rozstrzygania tego rodzaju spraw między Radą miasta, a urzędnikiem miejskim. Rozprawie przewodniczył hr. Belcredi, Radę miasta Krakowa zastępował syndyk dr. Hajdukiewicz, p. Czoponowskiego adwokat dr. Kornfeld, zaś Wydział krajowy nie brał udziału w rozprawie przez swojego zastępcę.

Koło pań „Towarzystwa Szkoły ludowej", rozwijające tak ożywioną działalność we Lwowie, odbyło wczoraj popołudniu doroczne walne zgromadzenie pod przewodnictwem p. Skałkowskiej. P. Grossówna odczytała Sprawozdanie Wydziału, które daje obraz czynności Koła, liczącego do 1.000 członków. Wśród specyalnych komisyi istniejących w Kole odznaczała się ruchliwością szkolna, która pod kierownictwem p. Koepplowej krzątała się około zakładania czytelni wraz z „Towarzystwem oświaty ludowej", a zasilanych ciągle książkami, zbieranemi przez Wydział Koła pań „Towarzystwa Szkoły ludowej", w Magierowie, Toustem, Soroce, Złotnikach, Sokołowie, Liczkowcach, Harcie, Turce i Barszczowicach. Ostatnia ta czytelnia powstała wyłącznie funduszem i staraniem p. Koepplowej. Własne czytelnie posiada Koło w Hołosku (założona przez p. Skałkowską), w Brzostowej Górze koło Kolbuszowej i w Snopkowie pod Lwowem, którą w tym roku zasilono 20 nowemi dziełami. Wszystkie książki, rozsyłane do czytelń, były zebrane między członkami, wybrane i w odpowiednie miejsca przez komisyę rozesłane.

Wydział wybrano następujący: Przewodniczęcą została p. Skałkowska, zastępczyniami panie: Niedziałkowska Wiktorya i Jeleniowa Marya; skarbniczkami panie: Bieńkowska Stanisława i Sztembarthowa Wiktorya, sekretarkami wreszcie panie: Minasiewiczowa Marya i Grossówna Stanisława. Do komisyi kontrolującej wybrano p. Horoszkiewiczównę Zofię i p. Adolfa Stronera, a na delegatki na walne zgromadzenie do Krakowa panie: Wechslerową, Skałkowską, Janowską, Jeleniową, Czechowiczową, Niedziałkowską, Łomnicką, Lettnerównę, Lewicką, Kossowską, Królikowską, Lilienową, Szydłowską, Burzyńską, Sieradzką i Czermakową.

Trzyletnia koncertantka. Na dochód kolonii rymanowskiej odbyła się wczoraj w szkole Staszica loterya fantowa poprzedzona koncertem, w którym popisywała się grą na fortepianie jednym paluszkiem trzyletnia dziewczynka Maniusia Kropiwnicka. Koncertowe bobo odegrało kilka popularnych pieśni patryotycznych i nie pomyliło się ani razu.

Odznaczenie Józefa Brandta. Arcyks. Karol Ludwik na mocy orzeczenia *jury* nadał ufundowany przez siebie złoty medel protektorski artyście Józefowi Brandtowi za jego wspaniały obraz „Modlitwa". Obraz ten, jak wiadomo, był na wystawie lwowskiej, a zakupił go p. minister oświaty.

Koncesya kolejowa. Ministerstwo handlu udzieliło pozwolenia ks. Andrzejowi Lubomirskiemu w Przeworsku, wraz z Ludwikiem Ramułtem, Zdzisławem Nowosieleckim, na podjęcie wstępnych robót technicznych około budowy normalnotorowej kolei lokalnej z Bachorza lub Dynowa na Krzemienną i Mrzygłód do Sanoka.

P. Pustoszkina, rosyjskiego konsula we Lwowie, okradziono onegdaj w nocy. Złodzieje zabrali srebra z kredensu w wartości 130 zł. Usiłowali oni się dobrać do kasy ogniotrwałej, na której pozostały ślady dłuta. Złodzieje prawdopodobnie dali się wieczorem zamknąć w kamienicy i w nocy dobranym kluczem otworzyli drzwi mieszkanie p. Pustoszkina, którego w domu nie było. Podejrzanych o tę kradzież aresztowano.

Zgromadzenie Towarzystwa strzeleckiego odbyło się wczoraj. Zebranie zagaił i przewodniczył mu prezes p. Michalski, który zawiadomił członków o darze, jaki pp. Platowski i Ihnatowicz złożyli dla Towarzystwa. Jest to mianowicie księga pamiątkowa królów kurkowych od roku 1893. Zebrani podziękowali tym panom przez powstanie. Sprawozdanie Wydziału przyjęto bez czytania a po długiej dyskusyi i sprawozdanie komisyi rewizyjnej, poczem udzielono Wydziałowi absolutoryum i wyrażono mu przez powstanie podziękowanie za gorliwe spełnienie czynności. Wreszcie wybrano 4 członków wydziału wylosowanych obecnie według statutu. Pp. Dzikowski, Platowski i Kamienobrodzki zostali wybrani ponownie, w miejsce zaś p. Glanza, który zrzekł się mandatu, wszedł do wydziału p. Lerski. Do komisyi rewizyjnej wybrano ponownie panów J. Schayera, L. Winiarza i E. Grzybowskiego, a do komisyi dla wymiaru strzałów pp. Glanza, Szumana, Dzikowskiego i Bienieckiego.

Wyścigi cyklistów. Oddział cyklistów „Sokoła" lwowskiego urządza we czwartek wycieczkę do Jaworowa. Punkt zborny przed gmachem Politechniki, odjazd o 6 rano. Dnia 26 maja urządza ten sam oddział wyścig drogowy 60 klm. ze Lwowa do Stryja, start o 7 rano za rogatką stryjską, wreszcie 2 i 3 czerwca urządza najdalszą wycieczkę: do Munkacza.

Zmiana własności. Dobra Winniczki, Dmytrowice, Ganczary, Hołów i Ludwinów z przyległościami w powiecie lwowskim położone, przeszły na własność Adama i Wandy baronostwa Horochów za cenę 600.000 koron.

Zjazd Kółek rolniczych obradował w Tarnopolu we środę i czwartek. Rozpoczęto od wysłuchania Mszy św., którą w kościele farnym odprawił ks. arcybiskup Issakowicz, umyślnie na zjazd przybyły do Tarnopola. Po uroczystych przemowach zagajających, przystąpiono do obrad. Uchwalono wysłać do Koła polskiego telegram z prośbą o przyspieszenie sprawy petycyi do rządu. Przyjęto też rezolucyę, wyrażającą potrzebę większych niż dotąd zasiłków ze strony kraju. Sprawa lustratorów handlowych dla sklepów „Kółek" wywołała obszerną dyskusyę, po której uznano potrzebę lustratorów i postanowiono odnieść się do Sejmu o subwencyę na ten cel. Nie obeszło się przy tej sposobności bez głośnych narzekań na krajowy handel solą, a potrącając o obecną gorączkę emigracyjną jeden z włościan podniósł, że sami włościanie nieraz chcieliby w kraju zostać, chcieliby jako tako zapobiedz swej biedzie, prowadzić handel masłem, jajami, szczeciną itp., cóż kiedy im się to nie udaje, nie wiedzą bowiem jak się do tego wziąć, a nie ma komu ich pouczyć. Dalej postanowiono wydać ozdobny statut Towarzystwa na który to cel hr. Potocki z Rymanowa ofiarował 300 złr. i przyjęto projekta jednolitych ksiąg dla sklepików „Kółek". Zgromadzenie zakończyło się rozlosowaniem rozmaitych premii rolniczych.

Kradzieże u ministra Madeyskiego popełniał od dłuższego czasu jakiś złodziej domowy. Ginęły mianowicie z zamkniętej szuflady biurka drobne kwoty pieniężne i cygara. P. Madeyski zwrócił na to uwagę służby domowej, która też nie chcąc, aby na nią padało podejrzenie, postanowiła koniecznie wykryć złodzieja i rzeczywiście złapała kamerdynera Marka Proceka, jak wytrychem otwierał szufladę biurka i zawiadomiła o tem policyę. P. Madeyski nie chciał wprawdzie zawiadamiać o tem władzy, ale ponieważ służba to już uczyniła, przeto prokuratorya wytoczyła przeciw Procekowi śledztwo, a sąd skazał go na dwa miesiące ciężkiego więzienia.

Zabójstwo hr. Ostroroga. Z Mińska donoszą do pism warszawskich pod datą 13 maja: „W ogrodzie miejskim rozegrał się tu wczoraj dramat. Hr. Ostroróg, właściciel ziemski z gub. mińskiej, padł ofiarą morderstwa. Dobra Więcierz p. Bykowskiej nabył przed kilkunastu laty p. Władysław Hrehorowicz z Tarasowa i zrobił p. Michała Zdanowicza prawnym posiadaczem majątku. Zdanowicz ów skorzystał z sytuacyi i dobra w swoje ręce zagarnął. Na Więcierzu jednak było mnóstwo długów, przeto gwoli zabezpieczenia się przed faktycznymi wierzycielami, p. Zdanowicz znalazł fikcyjnego w osobie hr. Ostroroga. Ten ostatni jednak poszedł również drogą, wskazaną mu przez Zdanowicza i korzystając z wystawionych przez Zdanowicza weksli na znaczną sumę, kupił majątek na licytacyi prawie za darmo na imię swej żony. P. Z. zapałał chęcią srogiej zemsty na hr. Ostrorogu, zapominając, iż sam nadużył również cudzego zaufania. Sprawa pomiędzy trzema powyżej wymienionymi spekulantami pp.: Hrehorowiczem, Zdanowiczem i Ostrorogiem ciągnęła się długo, przechodząc przez różne instancye. Wczoraj spacerująca w ogrodzie publiczność około godz. 11 rano usłyszała wystrzał rewolwerowy i spostrzegła starego, bardzo porządnie ubranego jegomościa, uciekającego w stronę mostu. Zaledwie jednak zrobił on kilkanaście kroków, padł na ziemię. Krew mu się rzuciła gardłem. O kilka kroków od leżącego stał człowiek lat średnich, trzymając rewolwer w ręku. Zaczęła się gromadzić zaciekawiona tym wypadkiem publiczność.

— Doktora! — ktoś krzyknął z tłumu — może się uda jeszcze go uratować.

— Aresztujcie wpierw zabójcę! — wołali inni.— Ucieknie!

Nie trzeba mnie aresztować, gdyż uciekać nie myślę—odparł morderca. — Proszę— oto rewolwer. To mówiąc, oddał broń jednemu ze stojących w pobliżu mężczyzn. Ofiarą był hr. Ostroróg; zabójcą — Zdanowicz. Przybyło wkrótce trzech lekarzy, którzy jednak jedynie śmierć hrabiego mogli już skonstatować. Kula uszkodziła płuca. Krwotok był bardzo silny. Zdanowicza osadzono w więzieniu. Na pół godziny przed wypadkiem zabójcę i jego ofiarę widziano razem siedzących na ławce w ogrodzie i prowadzących ożywioną rozmowę. Zdanowicz — dodać trzeba — targnął się był przed paru laty na życie Hrehorowicza.

Pożar Brześcia. Już w sobotnim numerze zamieściliśmy telegram o niesłychanym pożarze, który zniszczył miasto Brześć litewski. Obecnie otrzymujemy następujące, bardziej szczegółowe wiadomości. Pożar wybuchł we czwartek rano. Brześć był miastem bardzo rozległem, posiadał ulice przestronne, a mimo to ogień szerzył się wśród nich z szybkością przerażającą. Ogień powstał w piekarni żydowskiej nad Muchawcem przy ul. Rybackiej i wkrótce pastwą jego padła znaczna część tej ulicy i poblískiej Policyjnej, poczem płomienie przerzuciły się na długą ulicę Szeroką, pochłaniając niemal wszystkie domy po jej stronie lewej i prawie wszystkie po prawej. W pobliżu dworca centralnego na ulicy Szlacheckiej płomienie zatrzymały się i skręciwszy w lewo, wróciły znów do części miasta murowanej, pochłaniając wszystkie domy po drodze. W ten sposób w perzynę obrócone zostały szeregi domów przy ulicach: Miodowej, Białostockiej, Pocztowej, Policyjnej, Krzywej, Szerokiej, Kobrzyńskiej, Szosowej, Rybackiej, Mikołajewskiej, Piotrowskiej itd. Pastwą płomieni padło około 1.500 domów, zamieszkanych przez kilkanaście tysięcy osób, przeważnie mniej zamożnych. Spaliły się budynki, mieszczące urzęda miejskie ze wszystkiemi aktami i pieniędzmi, urząd wojskowy, zarząd żandarmeryi, kancelarya pułku libawskiego, sądu pokoju okręgu II-go i V-go z aktami, 16 fabryk tutek papierosowych, dwie fabryki wyrobów tytuniowych, kilka bóżnic, wielka synagoga nowa, kilka szkół żydowskich, murowanych piątrowych. Ofiarą pożaru padł także i szpitalik miejski, ale chorych udało się wyratować. Spaliły się cerkiew bracka i dwie cerkwie pułkowe. W cerkwi brackiej, w chwili wybuchu pożaru, odprawiało się nabożeństwo, które skończyło się, kiedy już się dach walił. Duchowny, opuszczając cerkiew w tej właśnie chwili, padł na ulicy i wyzionął ducha. Z cerkwi pozostała tylko ściana frontowa. Fakt ten potwierdza kilkudziesięciu pogorzelców, którzy jakoby byli świadkami naocznymi. Kościół ocalał, mimo to, że w pobliżu wszystkie domy w kupę popiołów się zamieniły. Ocalała dalej część miasta murowana, jego centrum, a więc wszystkie hotele i większe handle. W ogóle jednak pozostała zaledwie trzecia część miasta. Co do ofiar w ludziach ile ich było, dowiedzieć się trudno. Policya podaje ich liczbę na 20, ale pogorzelcy mówią, że 30, a nawet 100 i więcej. Wśród ogólnego zamieszania cyfry sprawdzić niepodobna, bo i władze nie mogą dowiedzieć się dokładnie, kto ocalał, a kogo brak, tembardziej, że znaczna liczba pogorzelców rozpierzchła się na wszystkie strony. Zamożniejsi przenieśli się do hotelów. Władze wojskowe wielu pozbawionym dachu dały pomieszczenie w ocalonych budynkach rządowych.

Spalona część miasta przedstawia okropny widok, który jednak przybywającym do Brześcia nie odrazu narzuca się przed oczy. Tuż przy dworcu centralnym klęski nie widać, ale zaraz dalej po za wiaduktem kolejowym obraz jej przedstawia się w całej grozie. Domów nie widać, jeno kominy porozwalane i poczernione, wśród których gdzieniegdzie jakaś ściana murowana sterczy... Nawet drzewa nie ostały się przed potęgą płomieni! Tu i owdzie wśród lasu kominów bieleje domek, który ocalał cudownym sposobem, tak, że mimowoli przechodzień zadaje sobie pytanie, dlaczego ten dom ostał się w morzu ognia? Nad gruzami dym a nawet tu i owdzie płomienie unosiły się jeszcze do piątku wieczorem.

Znaczna liczba mieszkańców Brześcia, zwłaszcza z inteligencyi i wojskowych, znajdowała się podczas pożaru w Warszawie. Więc też w pociągu kolei terespolskiej spotkać ich było można, jadących do Brześcia, by dowiedzieć się, czy domy ich ocalały, czy też poszły z dymem. Przez długi czas za odpowiedź służyło im to tylko, czego z dzienników się dowiedzieli, ale już w Siedlcach spotykali takich, co w Brześciu byli.

— Czy ulica Szeroka spalona?

— Spalona!

— A Miodowa, a Białostocka, a Policyjna?

— Wszystko spalone.

Rozpaczy na twarzach pytających niepodobna wyobrazić sobie. Do nadania nieszczęściu tak niezwykłych rozmiarów przyczyniła się posucha i silny wiatr, ale zdaje się, iż nie na tej jednej katastrofie się skończyło. Zaledwo bowiem straż pożarna w Brześciu ukończyła w swojem mieście ratunek, zaraz w piątek otrzymała telegraficzne wezwanie, aby przybyła do powiatowego miasteczka Kobrzynia, które stało w płomieniach. Również wielkie pożary wybuchły w Grodnie i Kożarach.

Nowy gmach na placu Halickim. Plac Halicki, który dzisiaj wyglada bardzo brzydko i zupełnie po małomiasteczkowemu, zostanie w kilku najbliższych latach gruntownie zreformowany, stosownie do nowego planu regulacyjnego. Magistrat proponuje uregulować ten plac w sposób następujący: Jeżeli weźmiemy tę pierzeję domów, na jednym końcu której na placu Maryackim jest handel nasion p. Stachiewicza, a na drugim końcu przy ulicy Halickiej jest magazyn rękawiczek p. Spożarskiego i przedłużymy, nie zmieniając kierunku, aż do kościoła OO. Bernardynów, z drugiej zaś strony jeżeli od Banku hipotecznego lub od księgarni polskiej wytniemy do skweru przed jeneralną komendą linię równoległą do tamtej, to otrzymamy podłużny plac, mający w całej niemal swej długości szerokość 40 metrów.

Przez wycięcie takich dwóch linii równoległych znieść będziemy musieli na stronie północnej tego placu wszystkie te brzydkie rudery, w których się mieści apteka Pipesa, cukiernia Kurnacha, kolektura loteryjna itd., a od strony południowej dom, w którym się mieści Towarzystwo stolarskie. Odcięty także zostanie znaczny kawał tego placyku, na którym dawniej sprzedawali bojkowie owoce w swoich straganach. Pozostanie zaś jeszcze część tego placu, ta mniej więcej, którą zapełniły jeszcze niedawno trzy obrzydliwe rudery, zburzone zeszłego roku. Będzie ona wynosiła 1666 metrów kwadratowych powierzchni.

Owóż na tej części proponuje p. Rawski, radny miejski i zaszczytnie znany budowniczy, zbudować gmach podobny do słynnej galeryi Wiktora Emanuela w Medyolanie lub do Kaiserpassage w Berlinie. Parter tego gmachu obrócony byłby na magazyny, a pierwsze piętro na sale dla Towarzystwa sztuk pięknych. Przez środek gmachu szedłby pasaż oszklony, mający cztery wyjścia na cztery strony budynku. Po środku zaś tego pasażu znajdowałby się oszklony placyk, upiększony jakąś fontaną lub klombem krzewów.

Wybudowanie takiego gmachu rozwiązałoby bardzo szczęśliwie dwie kwestye, dopraszające się od kilku lat załatwienia. Najpierw tedy zyskałoby miasto tak bardzo potrzebne ubikacye na pomieszczenie nieustającej wystawy obrazów, powtóre przyszłoby się w pomoc kupcom, którzy niesłychanem i z roku na rok wzrastającem drożeniem lokali sklepowych doprowadzeni są dziś do rozpaczy. Ten stan rzeczy, wywołany z jednej strony wystawą, a z drugiej ciągłem posuwaniem się sklepów żydowskich do centrum miasta, jest tak nieznośny, że wielu kupców nabywa na własność domy po to tylko, aby uchronić się od grożącej co chwila perspektywy podniesienia czynszu, które się odbywa tem swobodniej, że we Lwowie nie ma zwyczaju zawierać kontraktów rocznych i wzajemny stosunek lokatora do właściciela kamienicy polega na kwar-

---

34)

PAWEŁ BOURGET.

ZA MORZAMI.

(Ciąg dalszy).

Około godz. 8-ej wieczorem, jeden z moich nowojorskich kolegów po piórze, Ryszard Harding Davis, przybył wraz z dwoma przyjaciółmi, by wziąć mnie na wycieczkę nocną do Bowery. Ten wybitny pisarz, jeden z najlepszych nowelistów młodej Ameryki, jest to mężczyzna lat około trzydziestu, z szeroką twarzą, kościstą, nadzwyczaj ruchliwą i ruchliwą. Ukończywszy uniwersytet, Davis został reporterem jednego z większych dzienników w Filadelfii. W tym zawodzie stykał się z najgorszemi kanaliami z pomiędzy szumowin miejskich, a malowniczość zaułków obudziła w nim artystę. I skreślił kilka postaci tych wyrzutków społeczeństwa w szeregu nowel, z których „Gallegher", o którym już kilka razy wspominałem, jest arcydziełem w swoim rodzaju. W noweli tej kilkoma silnymi rysami odmalował łobuza tutejszego — małego chłopca dzikiego, o nerwach stalowych, z wolą nieposkromioną, takiego, jakiego widzimy w tramwajach lub wagonach kolei żelaznej, wchodzącego z jednego końca wagonu, a wychodzącego drugim, wywołującego ostrym akcentem swe towary, dzienniki, owoce lub romanse. Jest niezmiernie dużo prawdziwego humoru i zarazem pierwiastku tragicznego na tych pięćdziesięciu stronnicach opowieści, do której odsyłam każdego, kto chce poznać obyczaje amerykańskie. Do tej niemiłosiernej obserwacyi, pełnej ponurego realizmu mięsza się dużo wesołości. Davis opowiada nam mnóstwo anegdotek z tego życia, płynącego wśród nędzy, poniżenia i zbrodni. Przypomina nam małego chłopca, który mu służył za model do „Galleghera". Bohater noweli, po jej wydrukowaniu, zjawił się w biurze redakcyi, żądając swego działu za prawa autorskie. Opowiada dalej, jak wychodząc raz wieczorem z domu swego ojca, ubrany we frak i biały krawat, spotkał złodzieja, z którym zaprzyjaźnił się w jednej z knajp przedmiejskich. Złodziej obejrzał go od stóp do głów i zapytał:

— Co tu porabiasz? Czy jesteś lokajem w tym domu?

Gdy ubawiony tem nowelista odpowiedział twierdząco, rzekł doń złodziej:

— Gdy zechcesz ten dom okraść, nie zapomnij o mnie. Należę z tobą do spółki.

I obaj z temi słowy rozstali się, uścisnąwszy się serdecznie za ręce.

I tak, rozmawiając, zatrzymaliśmy się przed tą samą centralną stacyą policyjną, w której wczoraj rano poznałem p. Byrnesa i p. Clarka.

Teraz na noc dostaliśmy innego ajenta, ale podobnego do p. Clarka zarówno z fizyognomii jak i ze spokojnej odwagi. I ten zarówno jak p. Clark ubóstwia dyrektora policyi Byrnesa i kocha namiętnie swój zawód.

Jak myśliwy na grubą zwierzynę pragnie pochwalić się skórami zabitych lwów i tygrysów, rozkłada więc je jedną po drugiej, pokazując miejsce, w którem kula dziurę zrobiła, tak on pokazuje nam setki fotografii kryminalistów, złapanych przez siebie w New-Yorku w ostatnich latach. Ci bohaterowie rozbojów i morderstw mają błędne, smutne wejrzenie maniaków. Możnaby na palcach policzyć twarze uśmiechnięte, a uśmiechnięte śmiechem cynicznym, obrażającym, nieszczerym, a jeszcze mniej jest inteligentnych twarzy, a jeżeli się już trafi taka inteligentna twarz, to jest tak skupiona w sobie, a wzrok jej tak niedowierzający, że budzi przestrach nawet z fotografii. I tak zdaje mi się, że gdybym kiedykolwiek spotkał w życiu to w tej chwili poznałbym z fotografii te oczy trzydziestoletniego mężczyzny, skazanego za fałszerstwo, któremu przypatrując się agent, z niekłamnym podziwem mruczał: „To był wielki człowiek!"

Porównywając w pamięci te wizerunki z kolekcyą zbrodniarzy francuskich, którą widziałem w Paryżu, zdaje mi się, iż fizyognomie tutejsze mają więcej goryczy, są bardziej ponure, bardziej nieubłagane, a przedewszystkiem zdaje mi się, że widzę w nich więcej takich ludzi, którzy nie z potrzeby, ale z ochoty zostali zbrodniarzami. Daremnie szukałem pomiędzy nimi twarzy, tak często spotykanej w krajach łacińskich, człowieka, który upadł z powody słabości charakteru. Sąsiaduje on z człowiekiem, który pozostał uczciwym tylko dzięki okolicznościom. Nie wiem czy tak jest w istocie, czy też widzę te twarze takiemi tylko dzięki zamiłowaniu stawiania teoryi ogólnych, tak naturalnemu u człowieka podróżującego. Muzeum zawierające rozmaite *corpora delicti*, znajdujące się obok, przypomina mi swem urządzeniem takież muzeum u nas. Stoły z ruletami mieszczą się obok rewolwerów, wytrychy i dłuta obok maszyn do wyrabiania fałszywych banknotów itd. Sądząc z zebranych tu przedmiotów, zdaje mi się, iż złodzieje amerykańscy traktują swój zawód, że tak powiem, więcej przemysłowo a mniej w sposób okolicznościowy. Agent pokazuje nam piłę, którą pewien słynny morderca przepiłował na kawałki zwłoki ofiary. Chcąc wydobyć z niego wyznanie, inny agent przebrał się w prześcieradło i wzdychając żałośnie, przechadzał się nocą po kurytarzu, który zwiedziliśmy i na który wychodzą drzwi kaźni. Morderca sądził, iż to jest duch i przyznał się do zbrodni.

— Ależ to jest nielegalne! — zawołał jeden z naszych towarzyszy z niesmakiem.

Oto prawdziwy krzyk serca Anglo-Saksona, żywiącego wrodzony wstręt do forteli i do kłamstwa.

Usłyszawszy ten wykrzyknik przypomniałem sobie podobne oburzenie, okazane przez młodą pannę, gdy jej opowiadano o zabawnej hypokryzyi pewnej księżny sycylijskiej z ubiegłego stulecia. Będąc chorą śmiertelnie uczyniła wotum, że jeżeli wyzdrowieje, wybuduje klasztor. Jakoż w istocie przyszła do zdrowia, ponieważ jednak była niesłychanie skąpa, a przytem dewotka, przeto chcąc pogodzić swe skąpstwo ze świętoszkowatością, wpadła na oryginalny pomysł wywiązania się z uczynionego ślubu. Oto wybudowała w parku swoim pod Palermem malutki pawilonik, przedstawiający miniaturowy klasztor, nad wejściem umieściła napis *Certosa*, a dziesięć celek pawilonu zaludniła mnichami,... ale z wosku.

„Wstyd, hańba" — zawołała owa młoda Amerykanka — usłyszawszy tę anegdotę, widząc w postępku owej księżnej brak sumienia i wstrętną obłudę. Nie wiele brakowało, żeby nasz towarzysz w ten sam sposób osądził fortel użyty w obec zbrodniarza, piłującego trupy i żeby nie cofnął podania ręki sprytnemu ajentowi, który wpadł na ten pomysł.

Po tej rozmowie wyszliśmy na ulicę i tym razem szliśmy piechotą. Jest godzina dziewiąta, a już wszystkie domy zamykają się. Życie nocne istnieje tylko w Paryżu. W New-Yorku, podobnie jak w Londynie, o północy w oknach domów jest już od dawna ciemno. Oświecone bywają tylko „saloony", mieszczące się zazwyczaj w lokalach parterowych. Na bufetach ustawione ingredyencye, które pewien poeta bachiczny z czasów Ludwika XIII-go trafnie nazwał „ostrogami podniecającemi do picia więcej". Są to placki solone, ryby wędzone, szynka, ostrygi. W rogu maszynka do robienia zakładów, podobna do małych turnikietów w szynkach paryskich. Różnica jest tylko ta, że w Paryżu grają o wino, czarną kawę, likiery, a tu tylko o wódkę, — i że w turnikietach paryskich gra odbywa się przez obracanie kulki w turnikiecie, a tu za pomocą pięciu kart pokera.

Mechanizm bardzo sprytnie obmyślany za wrzuceniem niklowej monety do szpary miesza karty i wysuwa z nich pięć, a gdy przestanie funkcyonować, z tych pięciu kart tworzy się jakaś kombinacya, np. tak zwany sekwens, tj. król, dama, walet, dziesiątka, dziewiątka, albo też dwie pary, albo pięć kart jednego koloru, albo też jakaś inna figura i w ten sposób biedni ludzie przegrywają lub wygrywają swą truciznę wieczorną i mają podnietę gry, którą tak bardzo lubią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

talnem załatwianiu rachunków. Otóż postawienie halli, w której otworzyłoby się 30 lokalów sklepowych, położyłoby koniec temu przeciąganiu struny i poważne firmy kupieckie raz wprowadziwszy się do halli, przez kilka pokoleń mogłyby tam egzystować. Koszta budowy takiego gmachu obliczył p. Rawski na 300.000 zł., a ponieważ przez 12 lat z rzędu nowy budynek byłby wolny od podatku domowo-czynszowego, stosunkowo dość szybko zwracałyby się koszta, wyłożone na budowę. Projekt p. Rawskiego, jak się dowiadujemy, ma być przedłożony na jednem z najbliższych posiedzeń rady miejskiej.

Trzecia kadencya sądów przysięgłych we Lwowie rozpocznie się 24 bm. Jako przysięgli główni zostali wylosowani pp.: Ludwik Krokowski, Franciszek Czarnecki, Franciszek Kamieński, Karol Schayer, Maryan Boziewicz, Andrzej Tyszkowski, Jan Baczyński, dr. Antoni Kalina, Bohdan Maryniak, Zygmunt Płocki, Zygmunt Kędzierski, Wilhelm Sockler, Jan Sadłowski, Gustaw Kintzi, Jan Szwejkowski, Stefan Ramułt, Czesław Lekczyński, Wojciech Kętrzyński, Władysław Szyjkowski, Wincenty Winiarz, Franciszek Wczelak, Wilhelm Stadnicki, Wincenty Brzyski, Włodzimierz Pepłowski, dr. Kazimierz Podlewski, Roman Gojski, Aleksander Juchnowicz, Mojżesz Saphier, Józef Liptay, Józef Abgarowicz, Paweł Kretowicz, Stanisław hr. Wiśniewski, Alfons Nadwodzki, Mateusz Pilecki, Edm. Hartl, Piotr Czapczyński. — Jako zastępcy: Antoni Loska, Jędrzej Perediatkiewicz, Leon Stanisław Gabriel, dr. Bronisław Kaczorowski, Emanuel Mayer, Maurycy Penzias, Dawid Schwarzwald, Ferdynand Gross, Leopold Kukawski.

Z dziedziny mody. Rymotwórca jakiś przygodny, mniej dbający o logikę, niż o kadencyę, utrzymuje, że:

Wszystko w przyrodzie,
Ulega modzie.

Nie minął się ten natchniony poeta z prawdą. Nietylko bowiem stosowanie codziennych potrzeb ludzkich, nietylko formy etyczne, ale i estetyczne, pod wpływem mody dnia ulegają rozmaitym fluktuacyom przekonań, które zaprzeczają dziś temu, czemu niedawno hołdowały, wielbią to obecnie, co niedawno jeszcze wzgardą obrzucały. Dowodów słuszności tych twierdzeń nigdzieby się więcej nie znalazło, jak w dziedzinie mody toalet damskich. Szczupłość miejsca nie pozwala się nam zastanawiać dłużej nad tą kwestyą i dlatego odsyłamy tych, którzyby chcieli ją studyować, do dzieła wydanego przez pp. Charpentier et Fasquelle p. t. „*Un siècle de modes féminines*".

Ciepłe promienie wiosennego słońca ożywiają naturę, która występuje corocznie z jednemi i temi samemi barwami i formami. Człowiek, a raczej moda, jest bardziej od natury wyrafinowana, gdyż co wiosna wytwarza nowe kombinacye kroju i tonów. W tym roku pomysły jakoś się widocznie wyczerpały i moda wiosenna nie narzuca przywdziewania jednolitych uniformów, ale pozwala rozwijać fantazyę indywidualną, oraz dopuszczać się różnych odstępstw od przyjmowanych zwykle sezonowych zasad, naturalnie, bez rażących wykroczeń przeciwko estetycznemu smakowi. Cechą wybitną bieżącego sezonu wiosennego jest wszechwładztwo kreponów, zwłaszcza kreponów jedwabnych: gładkich, kratkowanych, nakrapianych i w paski. „Haute nouveauté" stanowi jedwab szkocki, od najjaśniejszej do najciemniejszej barwy, używany zarówno na kostyumy, jak na przybrania. Noszone też będą gazy jedwabne, „Chales à rayures", oraz krepony ażurowe, podszyte kolorową jedwabną materyą. Modne też są lśniące jedwabne materyały, przyozdabiane dowolnie, oraz plisowane batysty. Do ubierania bluzek i staników używany jest przeważnie jedwab czarny. Bluzki wszelakich kolorów, nawet najjaśniejszych odcieni, garnirowane są paskami, bretelkami i kołnierzykami z czarnego jedwabiu. Bardzo też ponętnie wygląda toaleta wiosenna, skombinowana z mieniącego batystu i tiulu, upasowanych na podkładzie z białego jedwabiu. Całość taka nadaje sukience przedziwną cechę powiewności. Efektowne i nader eleganckie przeciwstawienie tych powiewnych materyałów stanowią wyroby wełniane, cokolwiek cięższe, przetykane jasnemi nitkami jedwabiu, a noszące nazwę *Sac à ra sins.*

O kroju nie wiele mamy do zanotowania. Moda nie może się zdobyć na stanowczy przewrót, choć przewrót ten jest ciągle oczekiwany. Nieznaczna zmiana zaszła w formie przodów bluzek, które są obecnie mniej bufiaste, niż w ubiegłym roku. Rękawy nie podnoszą się już bufiasto wprost z ramienia, ale spadają swobodnie na rękę, opuszczając się przytem niżej, niż dotychczas. Przejście z buffy do wąskiego narękawka około kostki nad dłonią zaznacza się najczęściej pasem haftów lub koronek.

Spódnice nie są wcale przybierane. Fałdy, zwane „godets", spływają prosto ku ziemi, rozszerzając się ku dołowi w kierunku od bioder, gdzie spódnica musi być wąsko skrojona. Fałdów takich winno być mniej więcej 5 do 7 na spódnicy. Bluzki z innego materyału niż spódnica utrzymują się stale. Kombinacya bluzki ze spódnicą wymaga koniecznie paska, który może zastąpić szeroka wstążka, przewiązana w pasie i spadająca niżej w formie szarfy.

Do każdej toalety używane być mogą rękawiczki białe lub *gris perle*, oraz rękawiczki z *peau de Suède* i t. zw. *gants de S xe.*

Co do sposobu uczesania głowy, to grzywki na równi z trenami u sukien uważane są wprost za *shocking.* Powoli znika przesąd, że grzywka konieczną jest do zakrycia czoła niskiego lub nieforemnego. Moda dzisiejsza pozostawia wiele swobody w upięciu włosów: coraz więcej wchodzą w życie gładkie, nieco fryzowane pasma włosów około czoła. Fryzuje się też żelazkiem całe włosy, które się upina z tyłu nisko lub wysoko, odpowiednio do gustu i wymagań kapelusza.

Nec plus ultra nowości stanowią obecnie używane w Paryżu przez elegantki *tours de cou* z tiulu w rozmaitych kolorach, przybierane odpowiednimi kwiatami żywymi i sztucznymi. Do tiulu różowego nadaje się wybornie kwiat jabłoni, do tiulu niebieskiego *bleu reins* stosowne są bławatki. W ogóle kwiaty są w wielkiem użyciu; przystrajane bywają fijołkami i mimozami nawet *étuis-sacs* do lornetek.

Kosztowne lwy. Przed pałacem cesarza chińskiego w Pekinie stoją od niepamiętnych czasów dwa ogromne lwy ze złota, które same stanowią majątek. Kiedy w r. 1860 armia francusko-angielska szła na Pekin, Chińczycy pomalowali lwy na szaro, tak, że Europejczycy wzięli je za figury z bronzu i zostawili je w spokoju. Gdy zaś niedawno Japończycy grozili marszem na Pekin, cesarz kazał lwy pochować i dopiero teraz, po zawarciu traktatu pokojowego, ustawiono je znowu przed pałacem bogdychana.

Mianowania. Minister rolnictwa przeniósł zarządzcę lasów i dóbr skarbowych Stefana Cipsera ze Sącza do Rachinia, oraz zamianował asystenta leśnictwa Stan. Szczęścikiewicza zarządzcą lasów i dóbr skarbowych 9 rangi a elewa leśnictwa Michała Janeczka asystentem leśnictwa 10 rangi.

Gr. kat. probostwo w Szeszorach nadało Namiestnictwo ks. Janowi Biłousowi, dotychczasowemu proboszczowi w Białobereżce.

Amerykańska recenzya. *Anzeiger von Marlingtown* zamieszcza następującą recenzyę o przedstawieniu „Edypa" w tem mieście: „Trupa dramatyczna Campbella debiutowała wczoraj nader szczęśliwie. Wystawiła jedną z najnudniejszych sztuk, jakie kiedykolwiek napisano. Tak w niej wszyscy hałasują, płaczą i krzyczą, że można ogłuchnąć. Sztuka ta nosi tytuł „Edyp" a napisał ją pewien stary Grek. Należy tu jednak uczynić uwagę, iż kto doszedł do tak późnego wieku, iż nie może pisać do sensu, powinienby całkiem przestać pisać. W trzecim akcie zaledwie zapanowało pewne ożywienie. Nie stało się to jednak za sprawą autora, ani artystów trupy Campbella, tylko dzięki Imci Patrikowi O'Cleanowi, który postanowił wszystkich trochę rozweselić. Wyjął on rewolwer i strzelił w kierunku królowej. Śmiano się do rozpuku na widok aktorów zmykających ze sceny. Wszyscy aż do ostatniego, uciekli. Wtedy dyrektor Campbell wyszedł śpiesznie naprzód sceny i chciał coś powiedzieć do publiczności, ale Patrik strzelił mu koło ucha, a następnie on, James Wilkins i Fred Minsoil wyskoczyli na scenę i zaczęli tańczyć, śpiewać i gwizdać, jak to oni tylko robić umieją, wreszcie zmusili Minnie Campbell, dyrektorowę, by tańczyła razem z nimi. Skradli jej oni kilka całusów, a potem zmusili ją do tego, że grała królowę dalej. Humor całej publiczności odrazu się poprawił i przedstawienie dobiegło do końca wśród żartów i okrzyków. Jeżeli więc tak dalej pójdzie, trupa Campbella będzie miała szereg dobrych przedstawień".

Lampa spirytusowa. Cesarz Wilhelm zajął się bardzo wynalazkiem lampy spirytusowej, mającej dawać więcej światła, niż naftowa, i zawezwał do siebie wynalazcę p. Helffta, dyrektora laboratoryum chemicznego, pragnąc naocznie przekonać się o zaletach nowej lampy. Zalety te objawiły się w całej pełni. Dyrektor Helfft przedstawił cesarzowi kilka lamp, z których każda paliła się jasnym białym płomieniem. W zestawieniu z lampą naftową równej siły nowa lampa spirytusowa pobiła najzupełniej rywalkę, zaćmiła bowiem jej światło siłą, jasnością i czystością blasku. Cesarz oglądał wszelkie szczegóły lampy, a usłyszawszy o taniości nowego oświetlenia, zauważył, że dzięki temu ma ono wszelkie warunki upowszechnienia się w najszerszych kołach zamiast nafty. Na życzenie monarchy poddano nowe oświetlenie próbie co do bezpieczeństwa od eksplozyi, które przy nafcie wywołują corocznie tyle wypadków. I tę próbę nowa lampa wytrzymała. Eksplozyę jej starano się wywołać przez to, że dyrektor Helfft rzucił na ziemię zapaloną lampę. Rezerwoar szklany roztrzaskał się w kawałki, spirytus rozlał się na wszystkie strony, a mimo to nie nastąpiła eksplozya, ani nawet nie wszczął się pożar. Rozmawiając o tym wynalazku, zwrócił cesarz uwagę na to, że w razie rozpowszechnienia się oświetlenia spirytusowego zyskałoby i rolnictwo, bo mogłoby korzystnie wyzyskiwać hodowlę kartofli. „Coby to było za szczęśliwe zrządzenie" miał się odezwać „gdyby moi Marchijczycy robili światło z kartofli." Dyrektor Helfft oświadczył, że prowadzi jeszcze próby z żarnikiem (*Glühstrumpf*), tj. z rodzajem knota czy palnika, który chce ulepszyć i ustalić. Cesarz, przy pożegnaniu, wyrażając swój podziw, zwrócił uwagę wynalazcy na konstrukcyę małych lamp, którebу mogły być dostępne najniższym warstwom ludności.

Jak widać z tego sprawozdania z udanej próby, sprawa nowego oświetlenia spirytusowego przedstawia się poważnie. Na giełdzie berlińskiej zainteresowanie się cesarza Wilhelma tym nowym wynalazkiem wywołało zwyżkę cen spirytusu.

Kule z aluminium. Pewien przemysłowiec z okolic Belfortu (Francya) sprzedał rządowi angielskiemu znaczną ilość kul aluminiowych swego wynalazku. Takie kule, wraz z odpowiednią bronią, będą rozdane wojsku i policyi dla tłumienia ulicznych zamieszek, strejków itd. Wiadomo, iż aluminium jest najlżejszym z metalów. Kule przeznaczone są zatem ku trzymaniu na pewnej odległości burzycieli porządku publicznego, bez krwi rozlewu. Wprawdzie te kule na przestrzeni 100 metrów będą zadawać rany, ale daleko lżejsze od kul ołowianych, a pocisk już jest niewinnym na odległość 200 metrów. Podobno i rząd francuski zamierza skorzystać z tego wynalazku.

Recepta na kojarzenie małżeństw. Tygodnik włoski *Ultima moda* pomieszcza złośliwą nieco, ale bardzo dowcipną receptę: „Weź dwa tuziny chłopców i tyleż panien. Poobwijaj panienki w różnobarwne muśliny, krepy i gazy, ale nie po samą szyję, chłopców zaś poobwijaj w czarne lub czerwone fraki, dając im w tym ostatnim razie obcisłe, czarne atłasy na nogi. Wsyp to wszystko do czarodziejskiego kotła podczas jakiego balu i wymieszaj najdokładniej przy takcie polki, walca i kontredansa. Dodaj do tego nadto kilka butelek wina i trochę ciasteczek lub biszkoktów. Teraz smaż to wszystko na wolnym ogniu od Bożego Narodzenia do Środy popielcowej, a gdy post minie, rozdziel na tyle części, ile par panien i chłopców do kotła włożyłeś. Czasem ta lub owa para się nie uda, możesz jednak wówczas łatwo smak ich poprawić, dodając pewną liczbę posagu, stosownie do potrzeby."

Koncert. Znany basista teatrów niemieckich, Jan Borkowski, nasz rodak (syn byłego basisty opery lwowskiej Leona Borkowskiego), daje we czwartek 24 b. m. koncert w Przemyślu ze współudziałem pp. J. Szymańskiego, barytonisty sceny lwowskiej, Sienkiewicza tenorzysty i prof. M. Signiego, zaszczytnie znanego pianisty i kompozytora.

Zmarli. We Lwowie: Ludwik Gaweł, oficjał pocztowy, Marya Kislingerowa, właścicielka kamieniołomu w 35 roku życia.

Stan powietrza. T. o 8 rano +11° R. w poł. +12 R. Bar. 757. Idzie w górę. Pochmurno Deszcz. Grad.

Poznał swój swego.

— Więc przypuszczam pana do spółki Będziesz pan otrzymywał połowę czystego zysku.

— Za pozwoleniem. Zgadzam się na trzecią część, ale — „nieczystego" zysku.

Korespondencya Administracyi. *WP. K. Solecki w Wyżnianach.* Po otrzymaniu pieniędzy bylibyśmy bezwłocznie adres zmienili, gdyby WPan był łaskaw napisać na przekazie pod jakim adresem dotąd *Przegląd* otrzymywał. Mamy dziesięciu prenumeratorów tego samego nazwiska, a w tej liczbie dwóch, mających imię zaczynające się od litery „K". Nie wiedzieliśmy więc któremu z tych dwóch mamy zmienić adres i dlatego nie zmieniliśmy żadnemu. Koniecznie zmieniając adres, trzeba podać poprzedni, gdyż niemal na każde nazwisko jest po kilku abonentów, a są nazwiska mające nawet po 30 reprezentantów w naszych księgach

---

Teatr. Dziś w poniedziałek nie ma przedstawienia. We wtorek „Kolejarze", komedya w 4 aktach przez Michalskiego i Łapińskiego. We środę nie będzie przedstawienia. We czwartek na otwarcie teatru letniego „Madame Sans-Gêne", komedya w 4 aktach W. Sardou.

SPORT.

Wyścigi konne w Preszburgu.

Dzień pierwszy, 4 maja. Wielki bieg myśliwski, nagroda honorowa JCMości i 24.000 koron gotówką, meta 5000 metrów. Biegało koni 8: JCW. pułkownika arcyksięcia Ottona ogier gniady 5letni „Kupa" po Kisber od Wehmuth (jeździec porucznik v. Kreutzbruck) 1, porucznika v. Eynarda ogier gniady 5letni „Le Lude" (jeździec właściciel) 2. Totalizator płacił 31 za 5.

Dzień drugi, 5 maja. Wielki bieg myśliwski wojskowy, nagroda honorowa i 10.000 koron gotówką, meta 4800 metrów. Biegało koni 5: rotmistrza L. Hofmanna klacz kasztanowata 4letnia „Bonton" 1, porucznika R. br. Pletzgera wałach gniady 4letni „Mac Kinley" 2, Totalizator płacił 43 za 5.

Wielki preszburski bieg z płotami, nagroda honorowa i 4500 koron gotówką, meta 2800 metr. Biegało koni 4: R. Lebaudy'ego wałach kasztanowaty 5letni „Crackshot" 1, W. v. Treskowa wałach gniady 6letni „Golf Juan" 2. Totalizator pł. 15 za 5.

Bieg myśliwski starego grodu koronacyjnego, Handicap, nagroda 8000 koron, meta 4800 metrów. Biegało koni 6: R. Lebaudy'ego klacz gniada 4letnia „Cross Chat" (63.5 kg) 1, J. Schawela wałach gniady pełnoletni „Mainmast" (74 kg) 2. Totalizator płacił 10 za 5.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 18 maja.

(Z) Zmiana kierownictwa w ministeryum spraw zagranicznych nie wywarła na giełdę najmniejszego wrażenia, gdyż giełda wie bardzo dobrze o tem, że kierunek polityki pozostanie ten sam, co był. W cedułce giełdowej nie ma prawie żadnej zmiany.

Targ nasz stanął obecnie na punkcie martwym, z którego nie może się ruszyć ani o krok, ani naprzód, ani w tył. Inicyatywy nie ma najmniejszej, a nawet najśmielsi spekulanci nie zadają sobie trudu rzucenia jakiegoś nowego hasła.

Giełda berlińska także nie mogła dziś służyć za punkt wyjścia do żadnych nowych kombinacyi, gdyż tamtejsi spekulanci po całotygodniowej haussie sprzedawali dziś, aby zgarnąć zysk osiągnięty z różnicy kursów.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 399·10, węgierskie 459·50, Anglobanki 172·20, Uniony 332·—, Bankvereiny 163·25, Länderbanki 281·—, Ludwiki 222·—, Czerniowieckie 326·50, Elbethale 291·—, Renta papierowa 101·50, srebrna 101·40, austryacka złota 123·05, 4% austr. renta wal. kor. 101·55, węgierska złota 122·80, 4% węgierska renta wal. kor. 99·15, dukat 5·72—, 20-frankówka 9·67, marki 11·92, ruble 1·31¼.

Wiedeń 18 maja. Spirytus 15·90—16.

Telegramy „Przeglądu".

Peszt 20 maja. Na wczorajszem posiedzeniu klubu liberalnego oświadczył prezes gabinetu Banffy, że dziś odpowie w sejmie na interpelacyę Helfy'ego i Ugrona co do sytuacyi politycznej, a w odpowiedzi swej ograniczy się jedynie na wskazanie faktów, jakie zaszły. Zapowiedź tę Banffy'ego przyjęto oklaskami. Następnie oświadczył Banffy, że rząd stoi wiernie przy programie, na którego podstawie objął ster spraw rządowych i z całą energią stara się wprowadzić w czyn zasady zawarte w projektach ustaw kościelno-politycznych Obstając niewzruszenie przy podstawach ugody z.r. 1867, stara się rząd wewnętrzne sprawy Węgier kierować w duchu postępowym i także co do zagranicznych spraw kierować się będzie temi samemi zasadami i liczy na pomyślny skutek, jeśli tylko stronnictwo liberalne będzie mu zupełnie ufało i w całej pełni będzie mu udzielało swego skutecznego poparcia. (Huczne oklaski i okrzyki: „Eljen").

Minister oświaty Wlasicz oświadczył, że sejm przekaże komisyi do jak najrychlejszego załatwienia nuncya izby magnatów co do obydwu ustaw kościelno-politycznych. Rząd obstaje bezwarunkowo przy tem, ażeby zasady tych przedłożeń były nienaruszone.

Wiedeń 20 maja. Koło polskie na wczorajszem posiedzeniu wybrało członkami delegacyi pp. Chrzanowskiego, Jędrzejowicza, Pinińskiego, Popowskiego, Szczepanowskiego i Zaleskiego, tudzież Rusina p. Barwińskiego, a zastępcami pp. Eugeniusza Abrahamowicza i Włodzimierza Gniewosza.

Florencya 20 maja. Wczoraj wieczorem było tu silne trzęsienie ziemi. Wiele domów uszkodzonych, między ludnością wielkie przerażenie. Najwięcej ucierpiały miejscowości okoliczne, gdzie zawaliło się wiele domów, pięć osób zginęło, a bardzo wiele jest pokaleczonych. Trzęsienie ziemi skonstatowano także w Arezzo, Siennie, Piacenzy, Bolonii i Parmie.

HOTEL IMPERIAL.

KRZYSZTOF JANOWICZ

Lwów — ul. Trzeciego Maja l. 3.

Przyjechali dnia 19 maja. W. hr. Zamoyski z Zakopanego. S. N. hr. Wray z Londynu. P. Komornicki z Potoka. N. Bogdanowicz z Bukowiny, J. Sternfeld z Berlina. J. Bartos z Pragi. L. Lehr z Wiednia. A. Hempel z Heidelbergu. A. de Drau z Samary. S. Kaczyński z Wankowy.

HOTEL ŻORŻA.

Lwów — Plac Maryacki.

Przyjechali dnia 19 maja. L. Cieński z Okna. A. hr. Potocki z Krzeszowic. M. Bogdanowicz z Kossowa. A. hr. Cetner z Podkamienia. K. Wiszniewski z Dobrzan. Z. Wiszniewski z Putiatycz. St. br. Konopka i W. Bartz z Wołynia. W. Schulz-Moro, B Wołodzko i A. Przesmycki z Kijowa. A. Horodyski z Kociubiniec. H. Spitz z Berna.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 20 maja (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 221·— do 224·—, Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 327.— do 331·—, Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 440.— do 450.—. Akc. garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 203.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat. 5 proc. z 10 proc. prem. 110·30 do 111·—, 4 i pół proc. los. w 50 lat. 100.80 101·50, Banku kraj. 4 i pół. proc. los. w 51 lat. 101·20 do 101.90, Banku kraj. 4 proc. los. 57 lat. 98·— do 98·70 Tow. kred. gal. ziem. 4 proc. (I emisya) 98·50 do 99·20 4 proc. los. w 41 i pół latach 98·— do 98·70, 4 proc. los. w 56 lat. 98·— do 98·70.

Obligi za 100 zł.: Gal. fund. propinacyjnego 4 proc. 98·40 do 99·10 Bukowińskiego fund. propin. 5 proc. 102.— do 102.70 Kom. Banku kraj. 5 proc. (II emisyi) 102.10 do 102·80 Pożyczki kraj. 6 proc. 105·— —.—, 4 pół proc. 100.70 do 101.40, 4 proc. z r. 1891 98.8) do 99·—, 4 proc. po —·— koron z roku 1893 98·50 do 99·20.

Monety. Dukat cesarski 5·70 do 5.80, Napoleondor 9.65 do 9.75, Półimperyał 10.— do —.—, Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.31 do 1.33, 100 marek niemieckich 59.40 do 60·—.

Wiedeń 20 maja (godz. 11 w południe.) Kredyty 399.—, kred. węg. —.—, Anglobanki 172.—, Uniony —.—, Bankvereiny —.—, Länderbanki 281.70, Akcye tyton. 239.50, Staatsbahny 432.—, Lomb. (z kup.) 101.75, Elbethale —·—, Renta pap. —.—, Renta węg. 4% kor. —.—, Renta węgierska złota 4% —.—, Alpiny —.—, Marki 59.60, Losy tureckie —·—.

---

6)

DWIE KUZYNKI

POWIEŚĆ

przez **Katarzynę Green.**

(Przekład z angielskiego)

(Ciąg dalszy).

Spostrzegła to i biorąc ten uśmiech za objaw przychylny dla siebie, dygnęła zabawnie i od razu zaczęła opowiadać, lecz sędzia śledczy przerwał jej surowo.

— Jak się pani nazywasz? — spytał.

— Katarzyna Malone, do usług pańskich.

— Od jak dawna pozostajesz w służbie u p. Leavenworth?

— Będzie już rok temu, jak z rekomendacyi mrs. Wilson zadzwoniłam u drzwi... frontowych...

— Mniejsza o drzwi frontowe. Powiedz nam dlaczego opuściłaś mrs. Wilson?

— To nie ja ją opuściłam, ale ona mnie, odpłynęła do Europy w tym samym dniu, w którym ja zadzwoniłam do drzwi frontowych.

— Dobrze już. A zatem już od roku prawie jesteś w rodzinie Leavenworth?

— Tak, panie.

— Czy pan był dobry?

— Oh! nie miałam jeszcze tak dobrego. Niech Bóg ukarze łotra, co go ze świata zgładził. Nasz pan to był anioł i nieraz mówiłam do Hanny...

Urwała nagle, przerażona i spojrzała na służbę porozumiewająco, tak jak gdyby jej się wymknęło słowo nierozważne.

Spostrzegł to sędzia śledczy.

— Hanna? Któż to taki owa Hanna?

— Hanna, to panna służąca panienek.

— Pierwszy raz słyszę o tej Hannie... Nic mi o niej nie wspominałeś, wyliczając personal służby — rzekł sędzia śledczy, zwracając się do Tomasza.

— Nie, panie — odparł ten z ukłonem, rzucając ukośne spojrzenie kucharce — nie wspominałem o niej. Pan sędzia pytał, kto był w domu w chwili, gdy wykryto morderstwo, to też wszystkich wyliczyłem.

— Ho! ho! — zawołał sędzia ironicznie — widzę, że jesteś bywalcem w biurach policyjnych.

I zwracając się do kucharki, która wodziła naokoło przelęknionym wzrokiem, pytał dalej:

— A gdzież jest teraz Hanna?

— A odeszła.

— Kiedy?

Kucharka westchnęła głęboko.

— Wczoraj w nocy.

— O której godzinie?

— Co prawda, to ja nie wiem, proszę pana.

— Czy ją odprawiono?

— Ależ nie. Rzeczy jej zostały tutaj.

— Tak! jej rzeczy są tutaj. O której spostrzegliście jej zniknięcie?

— Ja wcale nie spostrzegłam. Wiem tylko, że wczoraj była tu, a dziś jej nie ma. Więc przypuszczam, że odeszła.

— Hm! — mruknął sędzia śledczy. — Gdzież ta dziewczyna sypiała?

Kucharka, miętosząc fartuch, podniosła oczy.

— Wszystkie sypiamy na najwyższem piętrze, proszę pana.

— W jednym pokoju.

— Tak, panie.

— Czy przyszła tam wczoraj wieczorem?

— Tak, panie.

— O której godzinie?

— Była już dziesiąta, jakeśmy poszły na górę. Zegar wybijał właśnie godzinę.

— Czy zauważyłaś w Hannie coś niezwykłego.

— Zęby ją bolały, proszę pana.

— Zęby ją bolały? Jakże się zachowywała. Opowiedz nam.

— Ona niczemu nie winna, upewniam prześwietny sąd. Hanna jest porządną i uczciwą dziewczyną. Mogłabym przysiądz na Biblię, że nie dotknęła nawet klamki od drzwi bibliotecznych. Zeszła tylko do pokoju miss Eleonory po eliksir od bólu zębów... Oh! proszę pana!...

— No, co dalej. Ja o nic Hanny nie posądzam, zapytuję tylko: co zrobiła, wróciwszy do waszego pokoju?

— Doprawdy, że nie pamiętam, ale Molly powiada...

— Mniejsza oto, co mówi Molly. Czy nie widziałaś, kiedy powróciła?

— Nie widziałam.

— A dziś rano nie widziałaś jej także?

— Ależ nie, jakże mogłam ją widzieć, skoro już odeszła?

— A więc po raz ostatni widziałaś ją wczoraj, gdy ją niby to zęby bolały?

— Tak, panie.

— Dobrze, a teraz opowiedz nam, kiedy i w jaki sposób dowiedziałaś się o śmierci p. Leavenworth.

Kobiecina, choć nader gadatliwa, nie udzieliła żadnych nowych szczegółów. Sędzia śledczy chciał ją już odprawić, gdy mały przysięgły, usłyszawszy, iż kucharka widziała miss Eleonorę, wychodzącą z biblioteki w chwilkę po przeniesieniu zwłok do pokoju sypialnego, zapytał ją, czy miss Eleonora nie trzymała czego w ręku?

— Nie wiem, proszę pana. Ach! prawda! — zawołała nagle kucharka — przypominam sobie: trzymała w ręku kawałek papieru. Tak, pamiętam doskonale, że go włożyła do kieszeni.

Następnym świadkiem była panna służąca, Molly O'Hanagon, ładna ośmnastoletnia bruneteczka, rumiana, wesoła, która, w zwykłych okolicznościach, mogłaby udzielać odpowiedzi trafnych i bystrych, lecz obecnie była tak przerażona widokiem sędziów, iż straciła wszelką przytomność umysłu. Jej różowe policzki zbladły, w całej postawie widać było nieudane i łatwe do pojęcia zmięszanie.

Zeznania jej tyczyły się głównie Hanny, streszczę je więc w kilku słowach. Hanna była mało oświeconą Irlandką, przybyłą z prowincyi Weszła do służby panien Leavenworth w charakterze pokojówki i szwaczki. Molly zastała już ją na tem stanowisku. Pomimo ponurego i nadzwyczaj skrytego usposobienia, potrafiła zyskać zaufanie wszystkich. Była zazwyczaj milcząca, jakby rozmarzona, niekiedy noce całe przesiadywała wśród ciemności, pogrążona w zadumie „jak jaka lady" — dodawała Molly.

Przyzwyczajenie to było niepojętem u dziewczyny z tej warstwy społecznej. Sędzia śledczy usiłował dowiedzieć się czegoś więcej, lecz Molly odparła, że nic nie wie, nieraz widziała Hannę wstającą wśród nocy i zasiadającą przy oknie.

— Już od kilku dni Hanna uskarżała się na ból zębów, a nocy ostatniej cierpiała tak bardzo, iż nie mogąc w łóżku wyleżeć, wstała i ubrała się.

Molly, badana ściśle, opowiadała, iż Hanna ubrała się zupełnie — włożyła nawet kołnierzyk — i zapaliwszy świecę, oświadczyła, iż idzie do miss Eleonory, aby ją poprosić o eliksir.

— Dlaczego do miss Eleonory? — wtrącił jeden z przysięgłych.

— Bo miss Eleonora udzielała zazwyczaj lekarstw wszystkim służącym. Otóż Molly zeszła na drugie piętro i nikt jej odtąd nie widział.

— Powiadasz, że wzięła świecę. Czy świeca była w lichtarz oprawna?

— Nie, panie, wzięła sama tylko świecę.

— Dlaczegoż ją brała? Czyż nie było płomieni gazowych na korytarzach?

— Są tam płomienie gazowe, lecz z gasiliśmy je, idąc do siebie, na górę, a Hanna obawia się ciemności.

— Jeśli wzięła ze sobą świecę, to ta świeca musiała gdzieś zostać. Czy jej nie znaleziono?

— Zapewne to ta! — odezwał się głos jakiś po za mną.

To p. Gryce podawał Molly świecę, spaloną do połowy.

— Tak, panie! Och mój Boże! gdzieżeś pan ją znalazł?

— Na trawie, w podwórzu około stajni, w połowie drogi pomiędzy drzwiami od kuchni i frontowemi.

A więc była pierwsza poszlaka. Nareszcie! znaleziono jakiś przedmiot, pozostający w związku z tajemniczem morderstwem.

Swieca niedopalona, rzucona na podwórze, świadczyła nietylko, że Hanna opuściła dom wkrótce po wyjściu z pokoju służących, lecz także, że wyszła przez drzwi od kuchni o kilka kroków od żelaznej furtki, prowadzącej na ulicę poboczną.

Lecz Tomasz, zawezwany znowu, potwierdził swe upewnienia, iż drzwi od kuchni i wszystkie okiennice na dole były zamknięte z wewnątrz. Stąd prosty wniosek, iż ktoś musiał je zamknąć po wyjściu Hanny. Ale kto?

V.

W pośród ogólnego zaciekawienia, jakie odkrycie to sprawiło, rozległ się nagle odgłos dzwonka.

Oczy wszystkich zwróciły się ku drzwiom. Rozwarły się one powoli i wszedł agent, któremu przed godziną sędzia śledczy dał szeptem tajemnicze jakieś zlecenie; za nim postępował młodzieniec o wyrazie twarzy inteligentnym i łagodnym.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor Ludwik Masłowski. Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. Zarządca W. Honak.